

DAMA MAGNOLIOWA (fragmenty)

Z głupiej, złej wojny wracał do cywila w chłodny, marcowy poranek 1947 roku. Świadomość, że wkroczył na drogę prowadzącą w mroczne nieznanne, zgasiła radość z odzyskanej wolności. Poczucie samotności i wyobcowania oraz myśl, że cały jego życiowy dorobek mieści się w starym chlebaku i sfatygowanej torbie polowej, wywołały chwilowy atak nostalgii za codzienną żołnierską grochówką, komiśniakiem i własnym siennikiem wypchanym zleżałą słomą.

Bezradnie stał na schodach poznańskiego dworca, który w pierwszych wojennych latach pełnił rolę karawanseraju dla setek tysięcy ludzi ciągnących na Zachód.

W prowizorycznych barakach i na peronach koczował bezimienny tłum, emanujący tak dobrze mu znanym i zarazem zniechęcającym zapachem, zwanym przez Niemców *Armeleutegeruch*²⁷.

Kiedy ciężko sapiąca i buchająca kłębami pary lokomotywa podstawiła pociąg do Wrocławia, runęła nań ciżba ludzi z tobołami, walizami i dziećmi. Zawrzała bezpardonowa walka o miejsca w zdezelowanych wagonach, zanurzona w piekielnej kakofonii męskich przekleństw, płaczu dzieci i zawodzeniu kobiet. Już w pierwszych minutach został wyeliminowany z tych rozgrywek i zepchnięty do niewdzięcznej roli kibica dantejskich scen w polskim wykonaniu. Nie dostał się również na pociąg do Zielonej Góry. Dopiero nad ranem znalazł wolne miejsce w wagonie dla żołnierzy jakiegoś pociągu, który gdzieś tam jechał. Słońce było już wysoko, kiedy od współpasażerów dowiedział się, że jedzie do Szczecina.

Pociąg włókł się, niczym dyliżans pradziadka, przez zrujnowany i wyludniony kraj. Spalone miasta i wsie, zrujnowane stacje kolejowe i nieobsiane pola świadczyły, że niedawno przetoczył się tędy niszczący walec wojny.

Myśli miał równie ponure jak krajobraz widziany przez pozbawione szyb okna wagonu. Natrętnie dręczące pytania: —„Co się dzieje z najbliższymi, gdzie oni? Czy żyją jeszcze?”— nie pozwoliły mu ani na chwilę zmrużyć oka.

Miało się ku zachodowi, kiedy po chybotliwych mostach, którymi w 1945 roku sowieccy i polscy saperzy spięli brzegi Odry, pociąg dobił do Szczecina i zatrzymał się przy peronie doszczętnie spalonego dworca. Koślawe litery na wielkiej, żółtej tablicy zapraszały zdemobilizowanych żołnierzy do Towarzystwa Przyjaciół Żołnierza przy ulicy Świętego Wojciecha. Wraz z kilkoma obe-

²⁷ *Armeleutegeruch* (niem.) – zapach ubóstwa

rwańcami w wyszmelcowanych rogatywkach ruszył do TPŻ-owskiego schroniska.

Długo błądzili zmęczeni, głodni i źli „demobile” w labiryncie zawałonych gruzem ulic i placów, nim dotarli do celu. Księżycowy krajobraz ceglanych rumowisk i wypalonych kamienic, które pustymi oczodołami okien patrzyły w błękit nieba, przytłaczał i napawał nieznanym lękiem. W trwożnym milczeniu szli gęsiego, potykając się o pogięte wybuchami bomb rury i stalowe dźwigary.

Kiedy wchodzili w gościnne progi żołnierskiego schroniska, dogasał już dzień, a na stratowaną wojną ziemię kładły się długie cienie ruin i okaleczonych drzew, zmieniając perspektywę oraz koloryt zetlałego szkieletu miasta.

Po mizernym śniadaniu poszedł do miasta, które w świetle porannego słońca nie wydawało się już tak złowrogie jak wieczorem. Martwość księżycowego krajobrazu zbombardowanego Szczecina ożywiała wyteżona praca przy rozbiorce wypalonych murów i remontach budynków mieszkalnych. Na ulicach było dużo pieszych, jeździły biało-czerwone tramwaje i liczne pojazdy konne. Na niemieckich gruzach kiełkowało polskie życie.

Na skrzyżowaniu Placu Żołnierza z Aleją Niepodległości uwagę jego zwróciło zbiegowisko przy ruinach dużego domu. Z chaotycznych relacji podnieconych ludzi dowiedział się, że robotnicy, zajęci wyburzaniem murów, znaleźli sejf przywalony cegłami. Żelazne pudło zawierało złote monety i biżuterię. Przy podziale łupu doszło do kłótni i bójki. Jeden ze znalazców usłużnie powiadomił milicję, która niezwłocznie przybyła na miejsce, aresztowała „szczęściarzy” i zabrała „złote runo”.

Widzowie tego zdarzenia dawno już poszli swoją drogą, a on ciągle jeszcze stał nad brzegiem głębokiej jamy, jaka powstała po wybraniu gruzu i rozmyślał. Potem obejrzał brzydki i doszczętnie wypalony gmach teatru, który zamykał Plac Żołnierza od strony Odry. Długo błądził ulicami otaczającymi Bramę Portową, przyglądał się gruzom i zrujnowanym domom, na których zdążyła już porosnąć trawa oraz karłowate drzewka. Na krótko zapuścił się w labirynt straszliwie zmasakrowanych uliczek Starego Miasta.

Zmęczony wielogodzinnym dreptaniem wstąpił do obscurnego baru na Krzywoustego, zamówił wódkę z zakąską i nawiązał rozmowę z bufetową, która do Szczecina przyjechała w 1945 roku. Od, po plotkarsku gadatliwej kobieciny, dowiedział się wielu ciekawych rzeczy o mieście i jego mieszkańcach. Umówił się z nią na jutrzejsze popołudnie. Trójką pojechał jeszcze do Lasku Arkońskiego. Obejrzał ruiny willi zamożnych mieszczan i jakiś czas błądził wśród drzew. Wieczorny chłód, który coraz śmielej sięgał za pazuchę mundurowej kurtki, zmusił go do powrotu.

Większość zdemobilizowanych żołnierzy 1. i 2. armii pochodziła ze wschodnich kresów II Rzeczypospolitej. Wielu z nich, przeważnie młodych ludzi, pozostawiło swoich najbliższych w „gościnnej ziemi radzieckiej” i samotnie

przybyło do wielkiego, tajemniczego miasta gruzów na nowe, nieznane życie. Niektórzy dotarli do polskiego już Szczecina szlakiem, o którym mówi się, że „wstąpił do piekieł, po drodze mu było”.

Franek Korsak (bo w Wielkim Księstwie „co krzaczek, to Korsaczek”) z rodzinnego Słonimia jechał do nadodrzańskiego grodu przez Orenburg, Sielce, Sumy i Berlin. O swej odysei dobrotliwie mawiał, śpiewając z wileńska: „ot i przykreść była w ta pora, co gnojki krasne na kraj świata wywlekły”.

Dla niejednego z tych żołnierzy-tułaczy schronisko TPŻ przez wiele tygodni było domem, a jego mieszkańcy rodziną. Po dniu ciężkiej pracy, przeważnie przy odgruzowaniu miasta, prawie każdego wieczora zbierali się „demobile” w jadalni na „stakańczyk” cegiełkowej herbaty i rozmowy, które nieraz trwały do późnej nocy. Chłopcy znad Prypeci, Wilii i Wilejki, Dniestru i Prutu opowiadali sobie, co widzieli w koszmarnym mieście ruin, nad wielką, ciemną rzeką. Również tego wieczora zeszli się pensjonariusze schroniska na „czajczyk” z pogaduszką.

Franek Korsak był ogrodnikiem i do wybuchu wojny pracował w majątku hrabiego Tyszkiewicza. W Szczecinie zachwyciło go bogactwo roślinności, piękno licznych parków i skwerów, toteż przy każdej okazji z entuzjazmem opowiadał o krategusach, rododendronach, forsycjach oraz innych drzewach, krzewach i kwiatach. Marzył o założeniu dużego ogrodnictwa z oranżerią i hodowlą róż, dalii czy orchidei. Niecierpliwie też oczekiwał kwitnienia szczecińskich magnolii.

Bufetowa dotrzymała przyrzeczenia. Przy stoliku w kącie sali oczekiwał go stary Niemiec, któremu zadrżały sękaty dłonie na widok ćwiartki wódki i obfitej zakąski. Stary ochlapus pił, jadł i szczegółowo odpowiadał na wszystkie pytania. Za następną ćwiartkę sprzedał przedwojenny plan Szczecina.

Przez prawie dwa tygodnie Franek przeczesał rejon starego miasta między ulicą Wielką a nieistniejącą dziś Junkerstrasse. Krążył wśród ruin zabytkowych kamieniczek, przedzierał się przez zasypane gruzem uliczki, zaglądał do piwnic i zawalonych klatek schodowych.

Owoce tej ciężkiej i niebezpiecznej pracy był posrebrzany dzbanek z takimi samymi kubkami oraz lekko uszkodzoną tacą. Oddał je za psie pieniądze na „Tobruku”, gdzie handlowano absolutnie wszystkim, między innymi saską porcelaną, kosztownymi futrami, starymi rowerami, srebrem stołowym, starą i nową odzieżą, a także czosnkiem i kiszonymi ogórkami.

Wychodząc z targowiska, natknął się na krewnego, który od końca 1945 roku mieszkał w Szczecinie i pracował w Wojewódzkim Wydziale Kultury i Sztuki. Wuj Konstanty bardzo ucieszył się z tego nieoczekiwanego spotkania i zaprosił krewniaka do siebie.

Wujostwo mieszkali przy Placu Żołnierza w osiemnastowiecznym budynku, którego parter zajmowała restauracja „Zagłoba”. Starsi, samotni ludzie z radością przygarnęli bezdomnego kuzyna i wynajęli mu jasny, duży pokój.

Zdarł buty. Wydał ostatnie złotówki i był u kresu sił, kiedy ostatni raz wybrał się po „złote runo”. Przeszukiwał teren Baszty Panieńskiej, z trzech stron otoczonej doszczętnie zrujnowanymi kamieniczkami. Tym razem intuicja go nie zawiodła. W blaszanym pudełku, owiniętym w zbutwiałe szmaty, znalazł 85 złotych dziesięciomarkówek, które mogły być tutaj ukryte jeszcze w dziewiętnastym stuleciu, bowiem wszystkie pochodziły sprzed 1880 roku. Nie stanowiło to wielkiego majątku, ale po zaspokojeniu pierwszych najważniejszych potrzeb, pozwalało na względnie dostatnie przeżycie około dwóch lat. Mógł więc pomyśleć o podjęciu dziennych studiów.

Po latach wojennej poniewierki, ciągłego ukrywania się oraz wymykania czerwonym i brunatnym oprawcom, jak również głodnej i chłodnej służbie wojskowej, wreszcie poczuł się normalnym człowiekiem. Ubrany w elegancki garnitur, świeżą koszulę i krawat szedł ulicą Mickiewicza na Pogodno, aby w przyzwoitej restauracji zjeść porządny obiad oraz wypić filiżankę unrowskiej kawy pod francuski koniak.

Zniszczony przez wycofujące się oddziały niemieckie dzisiejszy Most Akademicki zastąpiono prowizoryczną kładką. Przed nim szła po niej wysoka, smukła kobieta, ubrana w szary kostium. Jej rdzawe włosy były zaplecione w krótki warkocz. Tuż nad torami kobieta potknęła się i upadła na poręcz, która ostrzegawczo zaskrzypiała. Jednym skokiem był przy niej i chwycił ją za ramiona. Owionął go subtelny zapach nieznanych perfum. Poczuł drżenie jej ciała.

– Nic się pani nie stało? – zapytał.

– Nie, po prostu potknęłam się i gdyby nie pan... Gdyby nie pan, to prawdopodobnie spadłabym na tory, a z tej wysokości to pewna śmierć.

– Nie dramatyzujmy sytuacji. Taki upadek nie musiałby skończyć się śmiercią.

– Jestem panu wdzięczna... Tak wdzięczna, że nie wiem, jak dziękować. Co mogłabym dla pana zrobić?

– Pozwolić się odprowadzić do domu, bo o ile nawet nie odniosła pani żadnych obrażeń, to jednak szok...

– Odprowadzić? Nie, to niemożliwe! – powiedziała z lękiem widocznym w fiołkowych oczach. – Ale proszę mnie tu oczekiwać jutro o tej samej porze.

Odwróciła się i odeszła szybkim krokiem.

Ładna, bardzo ładna – pomyślał – figura kariatydy, dobrze by było, żeby przyszła.

Miał powody, aby z tegorocznego dnia urodzin być zadowolonym. Przed chwilą odebrał przydział na mieszkanie przy ulicy Moczyńskiego, która kiedyś nazywała się Momsenstrasse. Oprócz tego wuj obdarował go luksusowym wydaniem *Bajek La Fontaine'a* z ilustracjami Coré'ego.

Po powrocie mamy i Ewy dobrze będzie się nam żyło w tym pięknym, obszernym mieszkaniu – pomyślał i natychmiast zasępił się – O ile wróca...?

Następnego dnia punktualnie stawił się na miejscu spotkania, mimo że nie wierzył, aby piękna nieznajoma przysłała.

Umówiła się, bo chciała odczepić się ode mnie. Ślicznotka jest pewnie mężatką albo śmiertelnie zakochaną narzeczoną czy też kochanką, myślał z filozoficznym spokojem.

Przyjdzie albo nie przyjdzie – oto jest pytanie?

Przyjdzie! Uśmiechała się przy pożegnaniu. Uśmiech jest zawsze wyrazem zgody. Śmiech natomiast bywa niekiedy formą protestu lub przekory.

Intuicja nie zawiodła go; jednak nie przysłała...

Dzień później, kiedy zawieszał obraz w swoim pokoju, przypomniał sobie, że zbliża się godzina spotkania. Ogarnął go dziwny niepokój i coś nieznanego kazało mu iść na Most Akademicki.

Z daleka już widział, że jest! Tym razem czekała! Była ubrana w ten sam, co poprzednio, szary kostium, a w warkocz miała wpleciony kwiat magnolii.

– Jestem Tatiana, ale wolałabym, abyś nazywał mnie Anią. Ty bądź dla mnie Tomkiem. – Mówiąc to, podała mu smukłą, wypielęgowaną dłoń.

– To, czego sobie życzy kobieta, chce sam Pan Bóg. – powiedział, całując ją szarmancko w rękę.

– Znam ten francuski bon mot, który w życiowej praktyce jest niczym więcej, jak tylko dworskim reweransem. Oczekiwałam więc takiej odpowiedzi.

Uśmiechnęła się, pytając jednocześnie:

– Czy wiesz, z jakiego miejsca można obejrzeć panoramę Szczecina? Jeżeli tak, to zaprowadź mnie tam.

– Wiem, z Wieży Goctawskiej, a właściwie Bismarcka. Nie byłem tam jeszcze, ale znam drogę. Chodźmy – zaproponował.

Na miejsce dojechali tramwajem. Za wiaduktem kolejowym skręcili w lewo i po zasypanych gliną schodkach dotarli na szczyt Zielonego Wzgórza, na zboczach którego zachowały się jeszcze nieliczne i zdziczałe krzewy winorośli. Ich oczom ukazała się ponura, betonowa budowla w kształcie dwucylindrowego cylindra przykrytego masywną kopułą. Na poziomie pierwszej kondygnacji znajdował się taras widokowy otoczony barierkami. Nadbudówkę wieży wspierało dziesięć filarów, a raczej przypór, na których – podobno jeszcze do końca wojny — rozpościerało skrzydła dziesięć wykonanych z piaskowca cesarskich, zrywających się do lotu orłów. Wieża przetrwała wojenną zawieruchę, ale popiersie księcia Otto Bismarcka z wnętrza wieży, a także orły, zniknęły.

– Słyszałem, że po zdobyciu Szczecina Rosjanie wjechali na wzgórze czołgiem i za pomocą łańcuchów zdarli te orły w odruchu barbarzyńskiego aktu zemsty. Część z tych rzeźb zaginęła, wywieziona przez tzw. kolekcjonerów dzieł sztuki, a część podobno wala się jeszcze gdzieś tu, u podnóża góry – poinformował.

Anna pokiwała głową i smutno oznajmiła:

– Wyjątkowo brzydki jest ten bismarckowski monument, ale taki powinien być. Jest pewnym symbolem... – nie kończąc zdania, chwyciła go za rękę, bo przekraczali właśnie dwukolumnowy portal, wchodząc do ciemnego przedsionka budowli. Z tarasu przysadzistej wieży widać było cały Szczecin, okryty bogatą szatą roślinną i przewiązany błękitną wstęgą Odry. Krajobraz ożywił rzadko spotykany widok – dwa skandynawskie szkunery płynące pod żaglami w kierunku Świnoujścia.

Dopiero teraz, przyglądając się Annie, która w milczeniu lustrowała panoramę miasta, uświadomił sobie, że jest piękna tą dyskretną, subtelną urodą nierzucającą się w oczy przy pierwszym spotkaniu. Klasyczny owal twarzy, zgrabny nosek i wydatne usta tworzyły proporcjonalną całość, którą ożywiały duże oczy o długich rzęsach – prawdziwe zwierciadła duszy, mieniące się, w zależności od nastroju, wszystkimi odcieniami fioleto i błękitu.

Kiedy schodzili stromo opadającą drogą, bezludną o tej porze dnia, Anna nuciła *Laurę i Filona*, sielankę jej ulubionego poety serca.

Po powrocie do miasta wstąpili na spóźniony obiad do restauracji na Parkowej. Rozmawiali o sprawach banalnych – częstym wyłączeniu prądu, braku chleba po południu i o filmie „Szangri-La”, który Anna uznała za kicz.

Kiedy zapytał ją o perfumy, jakich używa (chciał znać ich nazwę), odpowiedziała z uśmiechem, że nazywają się *L`Enchantement*²⁸ i że nie ma ich w sprzedaży. Obecnie ona jest jedyną kobietą na świecie, która odurza mężczyzn ich zapachem.

– To dziwne i interesujące zarazem. Powiedz mi coś więcej o tym niezwykłym pachnidle.

– Recepturę tych uwodzicielskich perfum wymyśliła w latach swojej młodości moja prababka, która, umierając, przekazała tajemnicę babci i zobowiązała ją do milczenia. Tych perfum mogą więc używać tylko kobiety z mojej rodziny.

– A ty, oczywiście, przekażesz córce tę tajemnicę?

– Nie, ja ją zabiorę do grobu. Nie będę miała córki. Nie chcę, aby moje potomstwo żyło pod rządami zbirów! – rzekła, a jej oczy stały się ciemnobłękitne.

Odprowadził Annę do mostu Akademickiego i umówił się na jutrzejsze spotkanie w kruchcie kościoła Świętego Wojciecha.

Idąc do domu, myślał o niej. Najprawdopodobniej, jest to jedna z tych mężatek, która – niedoceniona przez męża w dzień i niezaspokojona w nocy – próbuje się dowartościować skokami w bok. Panie takie, bez wyjątku, wysoko sobie cenią męską dyskrecję. Ta najprawdopodobniej należy właśnie do tej kategorii.

²⁸ *L`Enchantement* (franc.) – Zachwycenie

Nie obawiaj się ślicznotko – zapewniał ją w myśli – będę milczał jak grób i obojętna mi będzie twoja przeszłość. Nie będę również dręczył cię moim życiorysem.

Z własnych i cudzych doświadczeń wiedział, że w takich sytuacjach to, co ma się stać, staje się przeważnie w czasie trzeciego spotkania. Taka bowiem karencja pozwala paniom swawolnym zachować dobre samopoczucie.

Zmęczony długim spacerem i nawałem wrażeń, kładł się spać pełen błogiej nadziei.

Idąc na spotkanie z Anną, zastanawiał się, ile ona może mieć lat. Najprawdopodobniej jest moją rówieśniczką. Być może w roku wybuchu wojny również zdawała maturę, a jeśli jest starsza ode mnie, to niewiele, najwyżej dwa lub trzy lata – myślał bez cienia niepokoju.

Tym razem była ubrana w skromną, beżową sukienkę, doskonale uszytą, z dobrego materiału. Zauważył też, że tak jak poprzednio, nie miała żadnej biżuterii.

Była odprężona, spokojna, a oczy jej miały odcień ciemnego fioletu. Spontanicznie wyraziła radość ze spotkania i sama zaproponowała spacer na Wały Chrobrego, przy których cumował „Beniowski” – statek wycieczkowy, niegdyś jacht ostatniego cesarza Niemiec.

W czasie „wizyty u Colleonego” z rozbawieniem stwierdzili, że wenecki kondotier, zmęczony wielowiekowym dosiadaniami konia na pomniku, zszedł z niego i przycupnął obok cokołu. Robotnicy właśnie demontowali posąg, który decyzją ministra kultury i sztuki miał pójść na wygnanie do Warszawy. Posadzili go na trawie, a on wyglądał tak jakoś... bardzo po ludzku.

W „Beniowskim” zostali na dancingu. Siedzieli naprzeciw siebie, przy mikroskopijnym stoliku pod bulajem i pili cierpkie zielonogórskie wino. Anna skomentowała to słowami Lermontowa:

Бо без вина чтож жизнь улана?
Ево душа на дне стакана,..
А кто два раза в день не пьян,
Тот – извините – не улан...²⁹

– Znasz to? – zapytała z uśmiechem, podnosząc kieliszek. – A może ty byłeś ułanem?

– Znam ten wiersz, ale muszę cię rozczarować, bo ułanem nie byłem.

– Służyłeś w artylerii?

– Tak, kto ci to powiedział? – zapytał zdziwiony.

Odpowiedziała mu ledwo dostrzegalnym uśmiechem.

Kiedy schodzili po trapie, było już późno. W zgodnym milczeniu, długo szli wyludnionymi ulicami miasta, słabo oświetlonego gazowymi latarniami. Że-

²⁹ Бо без вина чтож жизнь улана? (ros.) – Czymże bez wina jest życie ułana? /Jego dusza na dnie dzbana...

gnając Annę, przytrzymał jej dłoń w swojej i lekko uściskał. Oddał uścisk bez wahania.

Następnego dnia spotkali się w godzinach popołudniowych na stacji kolejowej Łęčno. Trzymając się za ręce, jak dwoje grzecznych dzieci, poszli do ogrodu dendrologicznego, w którym część drzew okryła się rzadką jeszcze, seledynową zielenią, ale krzaki forsycji były już obsypane złocistym kwieciami. Anna nuciła rosyjskie ballady i pieśni Moniuszki, a on słuchał w milczeniu. Kiedy obeszli wszystkie alejki i usiedli na ławce pod wielkim kasztanem, Anna opowiedziała piękną, rzewną baśń o wróbelku, który bez pamięci zakochał się w pąsowej róży.

W naleśnikarni, położonej w parku przylegającym do ogrodu, zjedli obiad złożony z różnie nadziewanych naleśników. Potem znów w zgodnym milczeniu chodzili pustymi alejami. Na chwilę usiedli pod rozłożystym krzewem i słuchali śpiewu nieznanego ptaka.

Tramwajem pojechali do miasta, aby w fotoplastykonie obejrzeć program o Wenecji.

– Czy wiesz, Tomku, co działo się w Petersburgu, gdy w początkach wieku na Newskim Prospekcie zainstalowano fotoplastykon?

– Nie wiem, nie było mnie wtedy na świecie.

– Ludzie zamawiali bilety na wiele tygodni wcześniej. Wiem o tym od mojej znajomej, starszej już pani. Jest to informacja pewna, chociaż z drugiej ręki, jako że i mnie jeszcze nie było. Wierzysz mi?

Oboje roześmiali się serdecznie.

– Bardzo chciałbym być w Wenecji. A ty?

– Ja byłam.

– Kiedy?

– W 1938 roku.

– Opowiedz mi, co wtenczas widziałas i co niezwykłego przeżyłaś – poprosił.

– Z przyjemnością. Chociaż na chwilę powrócę do moich szczęśliwych, dziewczęcych dni, tylko nie tutaj.

– Chodźmy do „Artystycznej”. O tej porze dnia powinno tam być jeszcze mało ludzi. Dobrze?

– Dobrze – zgodziła się i ciepło uśmiechnęła.

W restauracji zamówili kawę i likier „mandaryn”. Był to gęsty płyn, czerwony niczym proletariacka krew i lekko zalatujący pluskwami. Szczyt luksusu tamtych lat.

– Za przewodnik po Wenecji posłużyła mi książka Giacomo Casanovy *Moja ucieczka spod ołowianych dachów*. Czytałeś ją?

– Nie, ale słyszałem o niej. Czytałem natomiast wyjątki z jego pamiętników. Nie dziw się więc, że gród św. Marka widziałem po trochu oczami figlarnego „Kubusia”, donżuana, hochsztaplera, erudyty i szulera, a nade wszystko mistrza autoreklamy.

Anna z widoczną nostalgią wspominała weneckie pałace, kanały, muzea, place i kościoły. Żywo opowiadała o przygodzie, która spotkała ją w czasie wycieczki na Murano oraz barwnie opisała widziany tam zachód słońca.

— Tak się złożyło — zwierzała się — że właśnie w Wenecji pojęłam, na czym polega obłuda. W Muzeum XVIII Wieku oglądałam pożółkłe arkusiki lichego papieru, na którym mój wenecki przewodnik, Casanova-konfident Inkwizycji, pisał swoje donosy. Między innymi denuncjował żony ambasadorów. Ten wielbiciel kobiecego ciała z moralizatorską powagą oskarżał je o noszenie sukien z „nieprzystojnymi” dekolcami. Później wiele razy miałam okazję poznać mdły smak obłudy i nauczyć się pogardy dla obłudników.

– Czy to prawda, że „Kubuś” napisał w swoim pamiętniku, iż ludzie najlepiej czują się w kajdanach? – zapytał Tomek.

– Prawda.

– Odnoszę wrażenie, że świadomość tego faktu była fundamentem jego życiowego sukcesu.

– Być może, chociaż słowo sukces – w tym przypadku – to chyba zbyt wiele... – stwierdziła Anna pogardliwie.

– Niewątpliwie, jego barwny życiorys w osiemnastym wieku czynił go wybrańcem losu, mimo „marnego” pochodzenia (był nieślubnym synem aktorskiej pary). W tamtych latach w Europie „człowiek” zaczynał się od barona, a zmarłych komediantów grzebano na śmietnikach. Mimo to Casanova siedywał niekiedy przy jednym stole ze Stanisławem Augustem Poniatowskim, a nawet, jak mówią źródła, gościł w łóżku... carycy Katarzyny.

– Dzielić łożę z „Kasią” to nie taki znów nieosiągalny sukces dla dobrze zbudowanego mężczyzny o żywej fantazji i niejakim doświadczeniu w sprawach „uczuciowych” – stwierdziła Anna. – Król Staś również pochodzenie miał raczej niskie, gdy chodzi o kandydata na władcę państwa; był tylko wątpliwym hrabią, jak twierdzą historycy, stolnikiem litewskim. Ale dość na dziś tych uczonych dyskusji.